

Władysław Bartoszewski

Ze wspomnień starego bibliofila*



Tytuł tego tekstu obrałem nieprzypadkowo. Jestem miłośnikiem książek od lat gimnazjalnych do dziś. A że dzisiaj liczę sobie lat ponad dziewięćdziesiąt, można uznać określenie „stary” w tytule jako podwójnie prawdziwe, gdyż dotyczy nie tylko długoletniej ciągłości moich zamiłowań, a nawet pasji zbierackiej, lecz także mej dzisiejszej kondycji.

Życie moje zaczęło się od zbieractwa w okresie gimnazjum, a kończy zbieractwem, które trwa do dziś. Wiele pozycji przekazuję do zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich jak też częściowo (w przypadku tematyki Powstania Warszawskiego) do zbiorów Biblioteki Publicznej przy ulicy Koszykowej 26/28 w Warszawie, równocześnie jednak niektóre rzeczy kupuję, przeglądam i w ciągu niewielu tygodni oddaję. Przykładowo, jeśli ukazuje się coś nowego o Powstaniu Warszawskim (broszura, książeczka, artykuł), staram się w to zaopatrzyć i zapoznawać, zanim przekażę w formie daru dla celów publicznych.

Moje wieloletnie bibliofilstwo z czegoś wynikało, z interesowania się czymś, co potem było ukierunkowane, w miarę rozwoju umysłowego chłopca, który w gimnazjum, liceum, na uniwersytecie kształtował i umacniał swoje zainteresowania i zamiłowania. Do nich należały u mnie historia, historia kultury, kultura polska, literatura polska, czyli coś, co bardzo sprzyjało gromadzeniu książek. Cała działalność bibliofilska wiązała się ze świadomością kulturową, obywatelską, światopoglądową. W moim przypadku akurat mówimy o Warszawie: skończyłem katolickie Gimnazjum im. Stanisława Kostki na Traugutta – mała matura, i katolickie liceum Towarzystwa Wychowawczo-Oświatowego „Przyszłość” – duża matura. Chodziłem na tajny Uniwersytet Warszawski, do – między innymi – Krzyżanowskiego, Doroszewskiego, Ossowskiej i Szymdtowej. Te komplety uniwersyteckie były bardzo warszawskie, bardzo związane z tym miejscem i bardzo specjalne. Wpłynęło to w pewnym stopniu na kierunek mego zbieractwa. Miałem świadomość, że wszystkiego zebrać się nie da. I nawet nie ma sensu próbować.

Druga rzecz przyniesiona przez los, to już nie tylko warszawiana, ale historia wojny w ogóle, historia okupacji, historia terroru, cierpień i walk. Bibliofil nie musi pisać książek, a ten, co pisze książki, nie musi być bibliofilem. U mnie się to nakładało, uzupełniało, kompletowało.

Cennym i przekonywającym świadectwem początków mego świadomego zbieractwa są ważne ustępy pięknego eseju Juliusza Wiktor Gomulickiego ogłoszonego pod tytułem „Diabeł i zboże” – o miłośnikach i ratownikach książki w dwutomowej publikacji wydanej przez Państwowy Instytut Wydawniczy w roku 1970 pt. *Walka o dobra kultury*. Juliusz Wiktor Gomulicki, prowadzący w latach okupacji antykwariat najpierw przy ulicy Niecałej (wtedy Alberta, króla Belgów) nr 10, a później przy ulicy Nowy Świat, opowiada:

Głównymi nabywcami tego rodzaju książek: polskich, i niemieckich, dozwolonych, zakazanych oraz wydawanych konspiracyjnie – byli ludzie młodszy, a nawet zupełnie młodzi, przede wszystkim jednak ci wszyscy, którzy byli osobiście zaangażowani w konspiracyjną działalność polityczną. Jeden wymowny przykład starczy tu zresztą za długie wywody i komentarze.

* Wystąpienie Władysława Bartoszewskiego po otrzymaniu dyplomu członka honorowego Towarzystwa Bibliofilów Polskich 18 czerwca 2012 r. w Warszawie

Gdzieś w połowie 1941 r. Wacław Bojarski, młodziutki poeta z grupy „Sztuka i Naród”, przyprowadził do antykwariatu przy Niecałej również młodziutkiego, wysokiego i bardzo szczupłego towarzysza, który z wielkim zapalem rzucił się wtedy na rozłożone na stole numery „Wiadomości Literackich”, przerzucając je z niebywałą szybkością i z jeszcze większą szybkością wyrzucając z siebie potoki słów, zdradzających jego doskonale rozeznanie nie tylko w przedwojennym życiu literackim, ale również w aktualnej sytuacji politycznej.

Otóż owym młodziutkim, wówczas bowiem zaledwie dziesięcioletnim, bibliofilem był Władysław Bartoszewski, powszechnie dzisiaj znany publicysta i historyk, wybitny badacz i znawca dziejów okupacji hitlerowskiej, wówczas zaś były więzień Oświęcimia i kandydat na studium polonistyczne tajnego Uniwersytetu Warszawskiego, który już w następnym roku rozpoczął ścisłą współpracę z konspiracyjnymi placówkami Delegatury Rządu.

Malownicza postać Bartoszewskiego zasługuje tutaj na tym większą uwagę, że – abstrahując od jego konkretnej działalności konspiracyjnej – łączył on w sobie jako zbieracz i miłośnik książki dwie cechy stosunkowo rzadko występujące obok siebie. Był on mianowicie urodzonym księgolubem i księgozercą, wrażliwym na wiek, kształt i treść każdej napotkanej książki, a zarazem urodzonym dokumentalistą, pragnącym za wszelką cenę nie tylko nadążyć szybko mijającej historii, ale co więcej, chwycić tę historię w jej locie i błyskawicznie konserwować jej ślady, odcisnięte we wszelkiego rodzaju książkach, broszurach, ulotkach, czasopismach i innych dokumentach pisanych i drukowanych.

Te właśnie rzadkie cechy Bartoszewskiego stowarzyszone z jego wytrwałością i energią ukształtowały także jego księgozbiór okupacyjny, imponujący zarówno ilością pozycji (do wybuchu Powstania ok. 8000), jak i charakterystyczną tematyką, która odbijała nie tylko jego zainteresowania ogólnokulturalne i literackie, ale również jego pasję dokumentacyjną.

Oto zaś zwięzły przegląd znajdujących się w tym księgozbiornie dokumentów życia społecznego, które Bartoszewski przechowywał w sześciu miejscach, przeważnie w specjalnych skrytkach pod podłogą:

- a) ok. 200 różnych tytułów prasy konspiracyjnej (w ok. 10 000 egz.);
- b) książki i broszury wydane w konspiracji;
- c) ulotne druki konspiracyjne;
- d) ulotne druki okupacyjne (w tym prawie kompletny zbiór afiszów egzekucyjnych);
- e) warszawska prasa okupacyjna („szmatławiec” itp.);
- f) wydawnictwa hitlerowskie poświęcone sprawom polskim (ok. 350 tytułów);
- g) warszawska prasa powstańcza.

Akcji ratowniczej Bartoszewskiego (w pełni zasługuje ona bowiem na to miano), który pragnął przechować dla potomności wszystkie ważne świadectwa chwili bieżącej, towarzyszyły podobne (ale zawsze realizowane na mniejszą skalę) akcje innych działaczy konspiracyjnych, których już tutaj nie wymieniam.

Wdzięczny za tak znakomite zrozumienie moich intencji i życzliwe ich oświetlenie, próbowałem się zrewanżować w 1959 roku (na łamach tygodnika „Stolica”) moim widzeniem roli Juliusza Wiktora Gomulickiego w konspiracyjnym życiu kulturalnym okupowanej Warszawy:

Ulica Alberta I, króla Belgów (dawniej Niecała), należała w latach II wojny światowej do najmniej ruchliwych zakątków Śródmieścia Warszawy. Ogród Saski przeznaczony był *nur für Deutsche*, zamknięto bramę od strony Niecałej i Fredry, opustoszała ruchliwa dawniej aleja wiodąca przez ogród obok posesji Teatru Letniego. Zamarłą uliczkę przemierzali teraz głównie interesanci zdążający pod nr 14 – do biur Elektrowni Miejskiej, klienci kilkunastu sklepów, zakochane parki i konspiratorzy, spotykający się chętnie w ciemnej cukierence (chyba w domu nr 4), nieopodal rogu Wierzbowej.

W początkach okupacji w lokalu sklepowym przy ul. Alberta nr 10 otwarto księgarnię. Jej współwłaścicielami byli Alfons Prabucki, znany księgarz-wydawca, którego przedwojenna firma spłonęła w dniach oblężenia Warszawy przy ul. Miodowej I, oraz Wiktor Łazowski – w latach młodości członek grupy literackiej „Quincunx” (w której zdobywali ostrogi pisarskie głośni potem publicyści – Roman Fajans i Otmar Berson), ostatnio już przed wojną zajmujący się księgarstwem. W pierwszym pomieszczeniu nowo otwartej księgarni gospodarowali panowie Prabucki, Łazowski i ich pracownik Paweł Ulrych, w drugim pokoju prowadzono antykwariat. Założył go w początkach 1941 roku Juliusz Wiktor Gomulicki, miłośnik i badacz Norwida, podówczas ponadto kolekcjoner rozproszonych dzieł z księgozbioru swego ojca [Wiktora], zbieracz

arcyrzadkich druków Wacława Rolicz-Liedera, znawca starych ksiąg i varsovianów, imponujący niepoślednią erudycją i rozległością zainteresowań. W tym przybytku cennych i poszukiwanych książek, nazwanym antykwariatem „Pod Białym Krukiem” (jak objaśniał napis umieszczony na zewnątrz księgarni), toczył Gomulicki długie dyskusje bibliofilskie ze swymi stałymi klientami. Przypadkowi goście należeli tu bowiem do rzadkości. Można było spotkać za to na Alberta samych niemal rzetelnych miłośników książek, którzy w najcięższych latach nie wyrzekli się swej szlachetnej pasji wyszukiwania i gromadzenia druków rzadkich i arcyzadkich. A warto dodać, że w obliczu eksterminacji wszelkich dóbr kultury polskiej, zamykania bibliotek i zniszczenia licznych księgozbiorów, wobec braku normalnego rynku wydawniczego – antykwariaty spełniały w ówczesnej Warszawie szczególną rolę zbiornic drukowanych dokumentów historii i literatury polskiej, a znaczenie tych placówek wybiegało poza dorywcze cele handlowe. Gromadzenie książek, a specjalnie zbieractwo rzadkich ksiąg, unikatowych pozycji naszego piśmiennictwa, stanowiło nie tylko przedmiot zamiłowań – było akcją wielce pożyteczną.

Juliusz Gomulicki prowadził antykwariat „Pod Białym Krukiem” do początków 1943 roku. W początkach r. 1942 zorganizował na Alberta po raz pierwszy – przy współudziale właścicieli księgarni – aukcję rzadkich druków antykwarycznych. Zorganizowanie takiej imprezy natrafiało w warunkach okupacyjnych na znaczne trudności. Nie brakowało wprawdzie pozycji książkowych. Znaczna ich część pochodziła z prywatnego zakupu, komisantem był ponadto sam Gomulicki, rzadkie druki z okresu Sejmu Czteroletniego powierzyli mu też do sprzedaży dr Stefan Rygiel, miłośnik i znawca książek, b. dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, czy ruchliwy zbieracz – Stefan Zatorski. Aukcja bibliofilska nie mogła jednak stać się oficjalnie imprezą dostępną dla każdego. Przede wszystkim: na sprzedaż wystawiano liczne druki treści patriotycznej, a ponadto wszelkie zebrania były zakazane. Dostrzeżenie kilkunastu inteligentów-Polaków, spotykających się w jakichkolwiek celach w miejscu publicznym, mogło grozić poważnymi konsekwencjami. Należało więc imiennie zaprosić do udziału w licytacji stałych klientów antykwariatu, znanych i godnych zaufania, a przy tym sporządzić zawczasu spis książek przeznaczonych na aukcję.

Ostatecznie w pewne niedzielne południe w początkach 1942 r. odbyła się „Pod Białym Krukiem” pierwsza aukcja bibliofilska w okupowanej Warszawie. Księgarnia była zamknięta na głucho, jak zawsze w dniu świątecznym. Zaproszeni goście wchodzili tylnym wejściem od podwórza. Książki przeznaczone do sprzedaży aukcyjnej w tym dniu (a było ich ponad 100 pozycji) wyłożono na ladzie. Spis dzieł przygotowany na maszynie w niewielkiej ilości egzemplarzy doręczono już poprzednio zaproszonym gościom: obejmował przede wszystkim starodruki polskie, druki z wieku XIX i varsaviana.

Juliusz Gomulicki, kierując imprezą, komentował wyczerpująco każdą licytowaną pozycję. W aukcji uczestniczyli: dr Stefan Rygiel, inż. Jan Pomorski, Tadeusz Wolski, inż. Karczewski, dr Stanisław Konopka, prof. Jan Michalski, Wacław Błażejowski, dr Ludwik Gocel, inż. Ossowski, dr Ludomił Lewestam, Stefan Zatorski, Stefan Idzikowski, mec. [Stefan] Talikowski, Tadeusz Kwiatkowski, Wacław Jankowski, Tadeusz Sokołowski, Władysław Bartoszewski i inni.

W kilkunastu wypadkach rozgorzała dość zawzięta walka o kupno niektórych pozycji. Po kilkugodzinnej licytacji, której uczestnicy musieli przeważnie liczyć się z ograniczonymi możliwościami finansowymi, zaczęto się pojedynczo i małymi grupkami rozchodzić do domów. W zamkniętej księgarni, wśród książek pięknych i rzadkich zapomnieć można było na kilka godzin o wszystkim, co się działo poza nią, o wszystkim, co groziło w każdej chwili na ulicach okupowanej Warszawy.

W ślad za pierwszą aukcją „Pod Białym Krukiem” nastąpiło niebawem kilka dalszych imprez w tym lokalu. Pojawiało się na nich mniej więcej to samo grono wiernych gości, którzy tygodniami wspominali potem ciekawsze pozycje licytowane na aukcji. Rolę „bicza” na gości aukcyjnych odegrał przy ul. Alberta kilkakrotnie farmaceuta – zbieracz książek p. [Jan] Knobloch, który wołając gromko: „Ja to wezmę! Zobacz pan, że ja to kupię wszystko” – podbijał stawki bez miary, ku przerażeniu i wzburzeniu pozostałych uczestników imprezy.

W początkach roku 1943 Gomulicki rozstał się z „Białym Krukiem” i uruchomił niewielki antykwariat w ruchliwszym punkcie miasta – na Nowym Świecie przy Chmielnej – w pokoju za księgarnią sortymentową Michałaka. Tradycja konspiracyjnych aukcji bibliofilskich przylgnęła jednak nierozłącznie do lokalu przy ul. Alberta.

Słychać było w owych latach o jeszcze jednej licytacji antykwarskiej zorganizowanej przez J.W. Gomulickiego doraźnie w roku 1943 w pewnym mieszkaniu prywatnym na Kanonii, w celu spieniężenia księgozbioru po dr. [Władysławie] Podczaskim – były to przede wszystkim

dzieła dotyczące Francji oraz książki w języku francuskim. W roku 1943 odbyły się też ostatnie aukcje bibliofilskie księgarni Prabuckiego i Łazowskiego.

Księgarnia ta nie stanowiła zresztą bezpiecznego lokum dla zebranych. Mieścił się w niej jeden z dużych punktów rozdzielczych różnorodnych wydawnictw konspiracyjnych, a szczególnie wydawanych nielegalnie broszur i książeczek. Stały gość firmy dr med. Bonawentura Kamiński, pełniący odpowiedzialne funkcje w tajnym sanitariacie warszawskim, odwiedzał często Alfonsa Prabuckiego, pozostawiając w księgarni hurtowo bibułę i wykorzystując pokój za sklepem do różnych spotkań, aż do chwili swego aresztowania w lipcu 1944 roku. Takich stałych gości bywało więcej przy ulicy Alberta... Niewielu tylko klientów księgarni i antykwariatu zdawało sobie z tego sprawę.

Minęło lat kilkanaście - i oto 4 i 5 grudnia 1958 odbyła się w salach Klubu Księgarza na Rynku Starego Miasta po raz pierwszy od roku 1947 aukcja antykwarska. Spotkali się na niej - w jakże odmiennych warunkach - starzy znajomi. Za stołem organizatorów zasiadał i aukcję prowadził Wiktor Łazowski, b. współwłaściciel księgarni na ul. Alberta. Znakomity znawca i kolekcjoner druków Wielkiej Emigracji, historyk i bibliofil dr Ludwik Gocel przybył na aukcję aż z Krakowa. W pierwszym rzędzie licytantów zasiadał, pilnie śledząc wydarzenia na sali i wertując katalog Juliusz Wiktor Gomulicki. Piszący te słowa dostrzegł na sali i inne twarze widywane czasu wojny w warszawskich antykwariatach. Myśl pobiegła ku tym, którzy już w tym spotkaniu uczestniczyć nie mogli: dr Stefan Rygiel, prof. Jan Michalski, Tadeusz Sokołowski i inni - nie ma już ich między żyjącymi (W. Bartoszewski, *Konspiracyjne aukcje bibliofilskie „Pod Białym Krukiem”*, „Stolica” 1959, nr 1, s. 10).

Biblioteka Publiczna miastą stołecznego Warszawy, w której gościnie wypowiadam te słowa wspomnień, odegrała w życiu społeczeństwa stolicy w latach wojennej próby rolę wybitną i wzorcową, a w okresie Powstania Warszawskiego znalazła się w sercu walk. W odległości kilkuset metrów, na Marszałkowskiej 62 stoi do dziś dom - niezniszczony, tylko uszkodzony, wyremontowany, ale powierzchownie; podwórka są również wyremontowane, do niedawna były tam jeszcze ślady kul. Otóż tam byłem w czasie Powstania. I żeby była anegdota, że koło mnie dzieją się również rzeczy satyryczne: kiedy zaczęto przypominać sobie znaczenie pewnych obiektów i miejsc dla historii Warszawy dla przewodników oraz oświaty (było to oczywiście w czasach III Rzeczypospolitej), przypomniano sobie o radiostacji, punkcie informacyjnym Komendy Głównej AK, kryptonim „Anna”, która to radiostacja i punkt informacyjny znajdowały się na Marszałkowskiej 62, na najwyższym piętrze. Nie należało to do najbezpieczniejszych miejsc w okresie bombardowania i ostrzału miasta. Komendant czy szef tej radiostacji - bo takiej nazwy wtedy używano - i jeden z jego czołowych współpracowników byli znanymi prawnikami, nie warszawiakami - obaj zmarli po wojnie w Krakowie. Wobec tego była okazja, żeby napisać na tablicy, że tu mieściło się to i to - dwa zdania oraz nazwiska tych czołowych ludzi. Ale ktoś z nieznanego mi powodu (ponieważ ja tej tablicy nie robiłem, ale obejrzałem ją dopiero na odsłonięciu) dopisał, co jest w ogóle nie w naszym zwyczaju, żyjącego Bartoszewskiego. Czyli jestem żywym dowodem na tej tablicy w bliskości Biblioteki Publicznej.

Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy na ul. Koszykowej była tym miejscem oraz obiektem, którego losy wtedy szalenie mnie obchodziły i w każdej wolnej godzinie starałem się dowiedzieć, czy coś się stało i czy dom stoi, bo znajdował się dosłownie za rogiem. I tak było w tych dramatycznych kilku tygodniach do 2 października 1944, do zakończenia działań wojennych, kiedy sam wyniosłem się już w inne miejsce w Śródmieściu, przewidując wykonanie innych zadań, niemających nic wspólnego z bibliofilstwem ani Biblioteką.

Zostałem dzisiaj zaszczycony przyznaniem mi bardzo miłego i nietypowego wyróżnienia, jakim jest Członkostwo Honorowe Towarzystwa Bibliofilów Polskich. Wszyscy znamy kategorie honorowania. Wiemy, że obok orderów i medali mogą to być obywatelstwa polskich miast, bo nie ma honorowego obywatelstwa państwa polskiego. Jest też tradycja nadawania tytułów doktora honoris causa. W Bawarii jestem np. obywatelem honorowym społeczności uniwersyteckiej Uniwersytetu w Augsburgu. Są u nas również nadawane członkostwa honorowe, dopisuję dziś Towarzystwo Przyjaciół Książki, którego członkiem honorowym mam zaszczyt być. To piękne Towarzystwo, dlatego wymienię je obok m.in. Polskiej Akademii Umiejętności, Polskiego Czerwonego Krzyża i Światowego Związku

Żołnierzy Armii Krajowej, którego nie jest członkiem, ale jestem członkiem honorowym. No i wreszcie – Prezesem Honorowym Polskiego Pen Clubu, po rezygnacji z dalszego kandydowania na prezesa ze względu na wiek.

A skąd ten Polski Czerwony Krzyż? To jest historia zupełnie osobliwa. Polski Czerwony Krzyż uratował mi życie dwa razy. Po pierwsze, w 1940 roku byłem wiośnią w Warszawie pracownikiem Polskiego Czerwonego Krzyża w dzielnicy Północ i pracownikiem Przychodni nr 1 dla ludzi biednych, przy ul. Hozjusza na Żoliborzu. Doradził mi to mój ojciec: wojna się toczy, to rób coś takiego, co i dla ludzi może być pożyteczne. Przynajmniej będziesz pracował dla Polaków, a nie dla okupanta. Sam pracował w banku. Zacząłem tam pracować i z legitymacją PCK zostałem ujęty i wywieziony wspólnym transportem ze wszystkim dzisiaj znanym Witoldem Pileckim do Oświęcimia, tzw. drugim transportem warszawskim (21/22 września 1940).

Przy selekcji policja niemiecka nie uwzględniła tego, że byłem pracownikiem PCK, bo legitymacja moja choć była w dwóch językach, nie miała tzw. wrony, czyli hitlerowskiego potwierdzenia z orłem niemieckim. Ale Polski Czerwony Krzyż miał możliwość oficjalnej interwencji w Międzynarodowym Czerwonym Krzyżu w Genewie, który z kolei interweniował w Niemieckim Czerwonym Krzyżu. Przed wojną 17-letni Bartoszewski w żadnych kartotekach gestapo nie istniał, w związku z czym znalazłem się w grupie kilkuset zwolnionych z Oświęcimia na krótko przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej.

Bibliofilstwo wojenne, w którym uczestniczyłem, i które zgodnie z prawdą scharakteryzował Gomulicki, to rozdział zamknięty utratą zbiorów. Po wojnie trafiłem na kilka lat do komunistycznych więzień, tak że praktycznie moje zbieractwo wznowiłem dopiero w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. Rynek antykwaryczny był już ustabilizowany, szczególnie w Krakowie, Częstochowie, Radomiu, Kielcach. W Warszawie też już funkcjonował, już bez wcześniejszych nacisków politycznych, gdzie ingerowano w zawartość antykwariatów.

Nasze Towarzystwo, które jak słusznie przypomniał prof. Towpik, powstało 90 lat temu, było prawie jedyną z tych instytucji ciągłości kultury polskiej, nastawionych na ocalanie dóbr wielowiekowych czy wielopokoleniowych w różnym kontekście. W tym nowym dla mnie, powięziennym świecie, zaczynając pracę jako dziennikarz, kiedy miałem trochę więcej środków materialnych, oczywiście kupowałem. Pracowałem najpierw w tygodniku „Stolica”, potem ponad dwadzieścia lat w krakowskim „Tygodniku Powszechnym”. Miałem częstszą okazję odwiedzania krakowskich, niektórych bardzo znanych antykwariatów i zaopatrywania się u nich. Odkładano dla mnie rzeczy przez szereg, szereg lat, właściwie aż do stanu wojennego.

Towarzystwo Przyjaciół Książki, Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy oraz środowisko bibliotekarzy i bibliofilów stało się dla mnie przytułkiem po wyjściu z więzienia. Najpierw w budynku, gdzie mieścił się wtedy gościnnie Zarząd Główny Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich, później przeniesiony na ul. Konopczyńskiego. W tym budynku zaczynałem pracę w Zarządzie Głównym Stowarzyszenia, a w drodze awansu doszedłem do członkostwa Zarządu, nie jako pracownik, a jako działacz społeczny w roku 1972, na kilka lat. Równocześnie w 1969 roku, co było już dziś przez prof. Towpika wspomniane, zostałem pierwszym Prezesem Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Przyjaciół Książki na lata 1969-1973. Musiałem potem nieco rozluźnić te więzy formalne bibliofilskie, ponieważ w 1972 roku zostałem wybranym Sekretarzem Generalnym Polskiego Pen Clubu. Było to skrzydło organizacji międzynarodowej o dużym znaczeniu dla kontaktów międzynarodowych, tolerowane u nas pomimo barier między blokami politycznymi. I temu oddałem się w bardzo dużym zakresie, z bardzo dobrymi skutkami. Sekretarzem Generalnym Pen Clubu byłem aż do stanu wojennego. Praca ta nie przeszkadzała mi bynajmniej w działalności stricte bibliofilskiej jako zbieraczowi – przeciwnie, poznawałem wielu znakomych pisarzy i zbieraczy, obracaliśmy się w tym samym środowisku. Jednym z przejawów tej działalności pozostaje piękny tomik bibliofilski wydany pięć lat temu w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich, gdzie dokonano wyboru z książek dedykowanych Bartoszewskiemu. Nie ma go w sprzedaży, egzemplarz przyniosłem, aby tu ofiarować. Nasze Towarzystwo biblioteki własnej chyba nie prowadzi, ale gdyby miało, to mogłoby gromadzić nie tylko protokoły i materiały z zebrań, ale i dary, które Towarzystwo mogłoby przyjmować. Rzecz

jest o tyle pikantna, że od Bartoszewskiego „zero”, wywiezionego do Oświęcimia w 1940 roku, mamy tu Bartoszewskiego, któremu dedykują książki politycy, biskupi, rabini, a nawet osobiście (odręcznie) Dalajlama. Wszystko jest już w polskich publicznych zbiorach, oryginały są dostępne w gabinecie Bartoszewskich w Ossolineum. Powstają prace magisterskie, nawet doktorskie, wiemy o siedmiu, gdzie korzystano z materiałów bibliofilskich z moich zbiorów. Czyli ideał tego, do czego mogą służyć zbiory – nie tylko do zabawy.

Moje bibliofilstwo w tej chwili jest kontynuowane w najbardziej jaskrawej formie, poprzez zachowywanie korespondencji ludzi znaczących, różnego typu, okazjonalnej i nie tylko. Staraniem komitetu powołanego przez Pana Prezydenta RP w lutym 2012 roku, ukazała się w nakładzie 500 numerowanych egzemplarzy książka dotycząca mojego jubileuszu 90-lecia. W książce tej zawarte są nie wszystkie, ale w wyborze, najważniejsze życzenia i gratulacje – w tych życzeniach i gratulacjach niekiedy jest opisana w jakimś stopniu działalność laureata. Nie byłoby to takie ważne, gdyby pisało do mnie jedynie grono bardzo sympatycznych uczniów jakiegoś liceum. Ale pisze papież Benedykt XVI, prezydent Izraela Szymon Peres, prezydent Niemiec, kanclerz Niemiec, prezydent Sarkozy, pisze prezydent Austrii. Wszystko to jest wydrukowane, a oryginalne rękopisy są już w Ossolineum.

Pozostają ślady obecności polskiego inteligenta, do tego człowieka związanego, co jest jasno powiedziane w różnych biografiami, z określonymi środowiskami i zainteresowaniami w ciągu swego życia w tej fazie historii Polski.

Jestem bardzo szczęśliwy z dokonywanych wyborów środowiskowych, typu zainteresowań, które umożliwiły mi w tej chwili, kiedy jestem, niewątpliwie u biologicznego kresu życia, ale mózg jeszcze pracuje, w stanie np. mniej więcej co 8-10 miesięcy wydawać nową książkę. W tym roku 2012 wyszły dwie. Piąty tom dzieł rozproszonych, wybranych, wydany przez Universitas, i książka *Wiosna jesienią*, o ludziach, którzy odegrali w moim życiu dużą rolę, w fazie od wyjścia z więzienia na fali tzw. odwilży październikowej do początku lat sześćdziesiątych. Następny tom ukaże się w zimie i będzie obejmował lata mniej więcej 1963-1968, potem przewiduję tom za lata po 1969. Do nich są przygotowane notatki, teczki problemowe, nagrywam to, technika pracy jest stale taka sama. Siedzi ze mną rozmówca, zadaje mi pytania, później nagranie jest przepisane, rozszerzane. Dostaję wydruki liczące do 1000 stron, a wydawca mi powiada, jak to wydawca, że gotów jest wydać 350 stron. Rozmówcą jest najczęściej Michał Komar, czasami Andrzej Kunert – moi przyjaciele, ludzie powszechnie znani w świecie kultury. Z nagrań robią strony. To jest przeze mnie autoryzowane, choć ostatecznie drukiem ukazuje się część tego, co powiedziałem. Wszystkie rękopisy spisane z taśmy i notatki idą natomiast do Ossolineum. Zwróciłem ostatnio uwagę w trochę żartobliwym liście dyrektorowi Ossolineum doktorowi Juzwen-ce, szalenie zasłużonymi człowiekowi: „Macie gabinet Jeziorańskiego i macie gabinet Bartoszewskiego. Gabinet Jeziorańskiego był darem wielkiej wartości poloników, obrazów itd., który skończył się. Można teraz nad tym siedzieć, udostępniać. Natomiast gabinet Bartoszewskiego jest w ciągłym dynamicznym ruchu, dostajecie bezustannie nowe rzeczy. Dostajecie kilkaset pozycji, opracowujecie je, ale nie możecie ich zamknąć w całość, bo przychodzą nowe”. Powiedzmy, teraz są obchody Karskiego, a ja o Karskim wysyłam materiały od lat. Są tam materiały komplementarne do tego, co się dzieje publicznie. Każdy mądry dziennikarz, który nie zajmowałby się tabloidowymi sensacjami, tylko pisał o poważnych sprawach, znalazłby o Karskim różne głosy, sprawy, które są bardzo ciekawe dla historyka, politologa.

Mówię o tym, aby zwrócić uwagę, jak ważne może być bibliofilstwo. Bibliofilstwo w moim życiu zaczęło się skromnym zbieraniem w okresie gimnazjalnym, ale i w tej chwili zachowuję każdy świstek, każdą wizytówkę, każdy list, bo nie wiadomo, kiedy co z tego wyniknie.

Jestem wielkim entuzjastą idei bibliofilskiej i uważam, że nie ma warunków tak skromnych, w których nie można by zbierać. W najbliższych tygodniach ofiaruję tutejszej Bibliotece Publicznej kilka niemieckich okupacyjnych książek telefonicznych Warszawy, które były dla mnie nieocenionym źródłem informacji. Przez telefony była też, o czym historycy czasów najnowszych wiedzą, łączność telefoniczna w czasie Powstania Warszawskiego. Ja, w sierpniu 1944 roku, aby dowiedzieć się o los moich rodziców, dzwoniłem z Marszałkowskiej 62 przez telefon do komisariatu policji państwowej na Żoliborzu, już obsadzonego przez siły powstańcze, i prosiłem o informację, w jakim stanie stał dom. Czyli książka telefoniczna to bardzo ciekawe źródło pomocnicze.

Szanowni Państwo, macie więc obok wspomnień także zapowiedź tego, w jakim kierunku pójdą dalsze moje wysiłki w dziedzinie i na rzecz spraw nam wspólnie bliskich.

Dziękuję!

Towarzystwo Bibliofilów Polskich
w Warszawie



UCHWAŁA
WALNEGO ZEBRANIA TOWARZYSTWA

WŁADYSŁAW
BARTOSZEWSKI

OTRZYMAŁ
CZŁONKOSTWO
HONOROWE

W uznaniu
bibliofilskich zasług
dla Towarzystwa
oraz wieloletnich działań
dla dobra i piękna
polskiej książki
i ekslibrisu

Edward Towpik
prezes

Mieczysław Bieleń
wiceprezes

Roman Nowoszewski
wiceprezes

Warszawa, 14 grudnia 2011 r.